

BARTŁOMIEJ MAJZEL

DOB A H O T E L O W A



Bartłomiej Majzel

Doba hotelowa

Biuro Literackie ♦ Wrocław 2009

P O E Z J E 3 7

BARTŁOMIEJ MAJZEL *Doba hotelowa*
Wydanie pierwsze

FOTOGRAFIE • Andrzej Tobis
PROJEKT TYPOGRAFICZNY • Artur Burszta
PROJEKT OKŁADKI I SKŁAD • Nina Łupińska
KOREKTA • Łukasz Plata
DRUK • Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź
WYDANE PRZY WSPARCIU • Miasta Wrocław
i Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu

Copyright © by Bartłomiej Majzel, 2009
Copyright © by Biuro Literackie, 2009

BIURO LITERACKIE
ul. Tęczowa 50a/9, 53-602 Wrocław
tel. 0 71 346 08 23, 0 71 783 90 01
poczta@biuroliterackie.pl
www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-62006-32-8

przychody i rozchody słońca (pokój numer jedenaście)

wymazuję cię ze ściśniętymi zębami.
zaskoczony wściekłością której dotąd nie.

wykreślam. targam kartki. popijam herbatę.
oto nadchodzi czas aby zniszczyć.
słońce zaszło. teraz świecić musi już ktoś inny.

powoduję że znikasz. choć jesteś wszystko
co napisałem. sterta piachu i papieru.
może jeszcze trochę litości
dla wroga i dobre słowo w garści.

ale ja jestem twoim zębem które tkwi.
więc już cię nie ma. bo jesteś równocześnie
wszystko co wykreślam
leżąc na podłodze w tym szarym hotelu.

słyszałem kroki w korytarzu. ktoś szedł przez czas
ale nie dostrzegłem twarzy. bo ten hotel
pozbawiony jest luster zapalniczek i drzwi.

u mnie biel. pomarańcz na lampie i błękit pościeli.
życie jest giętkie. powstaje w zatłoczonych pokojach
skąd dobiega płacz. podczas gdy w pustych ustaje
niczym rytm pomarszczonych kwiatów.

więc dotykam się przez chusteczkę
aby napocząć ten dzień nowym ciałem.
wymazuję się tak jak wymazałem
to wszystko czym był świat.

żegnaj słońce.
jesteśmy wspaniali.

dezynfekcja

wybacz mój zakopany kamień.
ukryłem go głęboko pomiędzy językiem
a słowem obcym i nieprzemakalnym.

jednak mój język prosto w twój.
a słowo niczyje na poboczu drogi jak potrącony pies.

jak się zachować w takiej sytuacji?

szukam kamienia który idealnie pasowałby
w dłoń. którym mógłbym cisnąć w niebo
aby dobiegła z nieba soczysta muzyka.

kamień w słowie. w połowie na języku.
na brzuchu świerszcz i kamyczek boży
który uderzył w moje okno.
zatrzepotał i wpadł mi do ust.

kto połyka kamień nie staje się kamieniem.

co więc robię gdy językiem potrącam?
kogo strącam? w czyim imieniu sadzę go
i czekam aż wyrośnie oczami do nieba.

co dzwigam gdy przepływam? w jakie miejsce wbijam się
i wsuwam palec w język? jak przegrywam? z kim bywam
tak pięknie że nadchodzi nieskończony przyływ?

przychody i rozchody księżycy

północ. pół człowiek pół wiersz.
półsen. półksiężyc. półmrok. zero zero.
wpół do pierwszej w nocy.
w słodkim półhotelu zatrzymało się światło.
w półpokoju gdzie z półłóżka
zwiślało pół koca i pół gwiazdy.
pół życia czekałem aż w połowie
drogi zatrzęsło się serce.
zatrzymało się lecz ruszyło dalej.

to półumieranie wchłania znacznie więcej
ciebie niż mnie. ja układam na ziemi
cień ptaka. potem się przyglądam
czy to na pewno ja.

w pokoju naprzeciwko pojawił się długi cień.
pół nocy umierania. życie tylko w dzień.
pół życia i pół śmierci przygniata go
i spycha jak najgłębiej w dół.
jego połowa coraz bardziej dzieli się na pół.
skóra zatrzymała się
i utknęła gdzieś w połowie skóry.
jego oddech o połowę płytszy
a oczy do połowy zamknięte.
każda część ciała o połowę krótsza.
a połowa połowy przez chwilę
stała się ciałem w połowie nie ludzkim.

zauć raz jeszcze tę starą melodię.
chciałbym jej słuchać spoglądając na suche
gołębce.

rozpacz patrzy zbyt wyraźnym wzrokiem.
a ja zwykle zaglądam w oczy jak najgłębiej.

karta się znów odwraca zgniatając dwie muchy

uwięziony. zacięty. odcięty od źródła.
przecięty na pół własnym słowem
któremu w obcym słowie daję się wysławić.

niewysłowiona strata. stracona bez słowa.
nocą śmierć się leniwie pod dachem przemieszcza
jak owędzona ryba orzeł krzyż i reszka.

nigdy nie miałem dla słów najmniejszej litości.
nie jestem tutaj po to aby słowom sprzyjać.
pozwalałem im jednak zawsze się wysławić
i poczuć święte prawo by czasem zabijać.

kości zostały już rozpakowane i schowane w szafce

cóż uczyniłem że nie ma w kranie krwi baranka?

wciąż pragnę! i ześlizguję się wyciekając z rąk.
zbliżam usta do wnętrza drzewa. tak jest dobrze.
tak zostaw – kolec wbity aż po samą szyję.

więc takie życie mogło się przydarzyć.
brało się sny. w gardle się stawało.
drżało się nawet i w werbel się biło.
więc takie życie mogło się przydarzyć.
lecz przez przypadek.

*pukało w nocy i szukało kogoś kto mieczem
wojuje lecz od słowa ginie.
a rośnie od uderzeń a wzbiera od ciosów.*

*pukało w drzwi więc się otworzyło.
popatrzyło w oczy aż oczy zmroziło
wyciągnęło rękę i cud! wciąż się tliło
tym życiem słonym. które choć się przydarzyło
to na krawędzi tylko. słono się płaciło
za każdą rundę. za każde oddanie
bo życie już nie dane lecz raczej zadane.*

więc żyło się nawet ale przez pomyłkę.
wpadając z wolna w martwą melancholię.

łagodna rozpacz? to dobre dla koni.

ktoś na końcu w ustach tulipana

jestem ostatnim mieszkańcem ogrodu
w którym osiwiały drzewa.

miasto jeszcze nie spłonęło doszczętnie.

więc patrzę na to czego już nie widać.
widzę dziadka który gwizdże jak kos.
znów jest drzewem pochyłym. ma ręce porośnięte
trawą. czoło zakrywa mech i kora.

dziadek rósł za płotem i piękniał o każdej porze roku.
gąsienice owijały się o jego paznokcie
a pod pachami wylegiwały się pisklęta.

dziś w pokoju jedenaście wszystkie głosy należą
do nieobecnych. gdy wystrzały zamilkły
jakiś starzec wszedł przez gruzy i kamienie
szukając klucza. stałem w oknie
zabitym deskami. przez szparę
widziałem dziadka jak wędruje z krzesłem
w dłoni pod rozrośniętą jabłoń.
jak wpada w wielki otwór w ziemi.
jak ściąga czapkę poprawiając śnieżne włosy.

*jestem miastem w którym tymczasowo zamieszkał pusty kształt.
jesteś drzewem którego nie powaliło nic prócz delikatności.*

lakmusowe papierki

wywiesiłem czarną flagę w oknie.
aby sztorm nadszedł i zabrał nas w nieznane.

słońce płynęło w rzece jak koślawa łódź.

słyszałem głosy które spały w moim łóżku od lat.
miałem poplamione ciało. i to nie była śmierć.

dużo ciała w plamach. dużo ciał w planetach.
ktoś zapukał. choć właściwie wcale nas nie było.
nie pukało. nie drżało. niczego nie żyło.

nikogo nie wyło. w niczym nie dudniło. nie charczało.
nie brało i we mnie nie miało już żadnej pamięci.

wyschnięte plamy na ustach. plamy na języku.
w tym pomiędzy braku gdzie brakuje najbardziej.

w pomiędzy drzewie gdzie i żyłki i tkanki i te zadrapania
z których się nic nie sączy. bo nikogo drżało.

drzewo miało wysuszone usta i nie rzekło ni słowa
tylko się skrzywiło. i nikt nie patrzyło
bo zwykle się tliło z daleka od pozostałych.

tylko raz zamarzyło by go oświetliło.
więc daj mi rękę. jeszcze rękę zanim minę.
a ty mnie nazwij kiedy będziesz w niebie
nazwij tę ciszę która niebem minie.

szemrząca gałąź przeciw drzewu płynie.
wodę we łzy przemienia sunący ocean.

trwa sztorm. lecz od tej chwili statek nie zatonie

ktoś podał mi ocet na gąbce. mam przebite dłonie.

zachodzący w ciszy. wschodzący w milczeniu

check out!
wynocha bracie.
zabieraj kości i won.

tam przecież hiacynt w oku. zaćma albo krótkowzroczność.
dzikie plamy w polu widzenia.
błysk i huk. nagle jasność która stopiła oczy.

sto tysięcy dioptrii
obrócone w kamień.

zabieraj tę opowieść i zmiataj.
zacinaj się. jąkaj. zaszyj się w durny kąt.
nie rozmawiaj pod żadnym pozorem. z nikim.
rozmowa jest pokieraszowana i tak już zostanie.
ktokolwiek przepłynie. ktokolwiek dręczyć będzie
kogoś ciepłem lasów. miłością albo łkaniem.
nie kładź słów na stół. zbieraj je sumiennie
pod kamieniem wewnątrz starego jeziora.
niech wypłyną na powierzchnię już po nas.

nie widzę! macam lecz przelewa się
przez palce. coś obok siebie. inna dłoń
w dłoń ociera się o drugą stronę monady.
u progu jakiegoś ciała. jest jak w rajcu.
jest bosko. bo nie ma już szans.

idę po omacku taranując mocarstwo.

moje piękne ciało zbudowane jest z liści.
które opadając trafiają na fale.

chciałbym przepłynąć to miasto nieobecną łodzią.

Spis wierszy

intro u zatrzaśniętych bram	5
---------------------------------------	---

JAZGOT

dobija się do drzwi. wchodzi w otchłań niczym w ciemny las . . .	9
przychody i rozchody słońca (pokój numer jedenaście)	10
dezynfekcja	12
pokój numer jedenaście. kaput amigo	13
ta zbrodnia mogła się wydarzyć tylko w tym hotelu...	14
szerszenie	15
przychody i rozchody księżycy	16

SZURANIE

kuna za ścianą	21
drzazgi	22
panna młoda czarna panna szurająca w pokoju bez okien . . .	24
karta się znów odwraca zgniatając dwie muchy	26
ta rozmowa jest pokiereszowana (11)	27
bacność na miliony lat	30
roztopy	32
ciało które nasiąka lepiącym się deszczem	33
chciałbym cię przytulić lecz coś zaszurało	34

CHARCZENIE

kości zostały już rozpakowane i schowane w szafce	39
tajne ponad poufne – wygrywamy chłopaki	40
kibicowałem słońcu pięści trzymając w ciemności	42
ktoś na końcu w ustach tulipana	44
to już koniec kolego	45

DUDNIENIE

szczeliny	49
o siostrę która się przemieniasz	50
cela numer jedenaście. adios amigo	51
sterczące ciało jednak z ziemią cieniem połączone	53
idąc przez miasto wydłubuję oczy złamanym patykiem	54
lakmusowe papierki	56

WYCIE

ktoś zatrzasnął książkę na wyblakłej stronie	61
pokój w którym zapadła decyzja o wojnie	62
niedopałek niedopałek	63
mochito	64
zachodzący w ciszy. wschodzący w milczeniu	65
ostatnie akordy przedostatnie chwile	67
posłaniec	68

Książka dostępna w księgarni





ISBN 978-83-62006-32-8



CENA 24 ZŁ